

T.A. Shippey
Tolkien jako pisarz powojenny

W książce *The Road to Middle-earth (Droga do Śródziemia)* podjąłem próbę odczytania Tolkiena w kontekście jego pracy akademickiej. Twierdzę w niej, że dzieła Tolkiena były w dużej mierze efektem jego działalności naukowej jako profesora języka angielskiego; że jego twórczość nieustannie czerpała z tekstów i technik, które przez całe życie badał i których uczył; że w tym sensie należał do długiej tradycji filologów, którzy wychodząc od historii martwych języków usiłowali odtworzyć zaginione literatury powstałe w tych językach. I podobnie jak ten filolog używał asterysku na oznaczenie „zrekonstruowanego” słowa, aby przejść do zrekonstruowanej opowieści lub wiersza, tak że Tolkien przechodził od słowa z asteryskiem do „odtworzonej opowieści”, w końcu zaś do czegoś w rodzaju „rzeczywistości z asteryskiem” (*asterisk-reality*). Konstatacje te mają posmak wyraźnie historyczny. Chodziło mi przy tym nie tylko o utwory literackie Tolkiena; dowodziłem, że również jego praca naukowa traktuje w dużej mierze o problematyce historii i zmiany. W większości – ale nie w całości. Od czasu badań de Saussure’a wiemy, że języki można analizować nie tylko diachronicznie, na modłę tradycyjnej filologii, lecz także synchronicznie, jako systemy funkcjonujące równolegle w danym momencie. Uważam zatem, pomimo argumentacji rozwijanej w *Drodze do Śródziemia*, że sens ma interpretowanie dzieła Tolkiena, zwłaszcza *Władcy pierścieni*, nie tylko w kontekście jego biografii i spuścizny naukowej, ale również w kontekście czasu, w jakim powstawały utwory. W przypadku *Władcy pierścieni* chodzi o lata 1954–1955.

Wydawcy Tolkiena (Allen & Unwin) musieli być świadomi tego, że podejmują spore ryzyko, publikując dzieło praktycznie bezprecedensowe lub precedensowe w niewielkim stopniu (pisze o tym Humphrey Carpenter w swojej biografii Tolkiena z 1977 roku). W pewnym sensie mieli rację. Dzisiaj, z perspektywy lat, widać jednak wyraźnie, że trylogia Tolkiena nie była dziełem tak wyjątkowym, jak wówczas uważano. Można nawet powiedzieć, że najważniejsze angielskie powieści opublikowane w pierwszej powojennej dekadzie mają ze sobą i z dziełami Tolkiena znacznie więcej wspólnego niż gotowi byliby przyznać krytycznoliteracy ortodoksi. Do niekwestionowanych arcydzieł tamtego okresu należy zaliczyć *1984* i *Folwark zwierzęcy* George’a Orwella (1949, 1945), a także *Władcę much* Williama Goldinga, książkę opublikowaną w roku ukazania się pierwszego tomu *Władcy pierścieni*. Początkowo niedoceniana tetralogia T.H. White’a *Był sobie raz na zawsze król* (*The Once and Future King*, 1958) od lat nieprzerwanie zyskuje na popularności i znaczeniu. Dodajmy do tego *Tę ohydłą Siłę* (*That Hideous Strength*, 1945) C.S. Lewisa. Powieści te wykazują moim zdaniem zaskakujące podobieństwa. Po pierwsze, nie są to utwory realistyczne, niezależnie od tego, czy określimy je mianem fantastyki naukowej, *fantasy*, bajki czy przypowieści – a takie terminy pojawiają się w krytyce literackiej. Po drugie, są to książki zdecydowanie naznaczone przez wojnę, a ich autorów można zasadnie nazwać powojennymi – nie tylko z uwagi na chronologię.

Ktoś zapyta, o którą wojnę tutaj chodzi? Często sądzi się – i jest to naturalne, jeśli pamiętamy o takich fragmentach *Władcy pierścieni* jak opis Martwych Bagien, zawierający wyraźne reminiscencje zniszczonych krajobrazów i martwych ciał na polach bitewnych Flandrii – że Tolkien jest pisarzem ukształtowanym przez pierwszą wojnę światową. Warto jednak wziąć pod uwagę kilka dat i miejsc. Z pięciu wymienionych pisarzy Tolkien był najstarszy: urodził się w 1892 roku w Bloemfontein w Południowej Afryce. Lewis przyszedł na świat w 1898 roku w Belfaście. Orwell urodził się w 1903 roku w Bengalu, White w 1906 roku w Bombaju, a Gol-

ding w 1911 roku w Kornwalii – jako jedyny urodził się w Anglii, choć wszyscy poczuli się do bycia pisarzami angielskimi. Można by sądzić, że główny nurt ich twórczości został ukształtowany jeszcze przed wybuchem drugiej wojny światowej. Tak jednak nie jest. Orwell pisał i publikował powieści od 1935 roku, ale mają one dziś dla nas znaczenie głównie antykwaryczne: zabieramy się za nie po lekturze 1984 i bodaj tylko z uwagi na tę książkę. Pierwsza powieść Lewisa, *Z milczącej planety* (*Out of the Silent Planet*), ukazała się w 1938 roku. Golding debiutował *Władcą much* w wieku czterdziestu kilku lat. Kariera White'a najbardziej może przypomina rozwój twórczości Tolkiena. Tak jak Tolkien, White napisał najpierw popularną książkę dla dzieci (*The Sword in the Stone*, 1938, por. *Hobbit* z 1937 roku), a następnie – też jak Tolkien – rozwijał podjęte wątki w poważniejszych i „bardziej dorosłych” książkach. Wydawcy nie byli przekonani. Drugi i trzeci tom cyklu, który stał się potem znany jako *The Once and Future King*, ukazały się w latach 1939 i 1940, ale w następnym roku wydawnictwo White'a (Collins) odmówiło publikacji tomów czwartego i piątego. Wydana w 1958 roku tetralogia była kompromisem: zrezygnowano z piątego tomu (ukazał się w 1977 roku, już po śmierci pisarza, jako *Księga Merlina*, *The Book of Merlyn*), duża jego część została jednak wykorzystana w nowej wersji tomu pierwszego. Napisanie i opublikowanie *Władcy pierścieni* zabrało Tolkienowi osiemnaście lat (a były jeszcze fragmenty wydane pośmiertnie). White poświęcił swemu dziełu dwadzieścia lat; trzeba było kolejnych dwudziestu lat, aby ukazało się ono w całości, jednak nie w formie zamierzonej przez pisarza.

Można więc powiedzieć, że wymienieni autorzy zostali powieściopisarzami stosunkowo późno; dotyczy to szczególnie Tolkiena i Goldinga. Najwyraźniej nie czuli się urodzonymi twórcami fabuł; w każdym razie pisarski fach nie przychodził im łatwo. Bernard Crick, biograf Orwella, przytacza słowa jednego ze znanych młodego Orwella: *Pisał bardzo źle. Musiał dopiero uczyć się, jak pisać [...] Pamiętam opowiadanie, którego w końcu nie opublikował [...], a które zaczęło się od słów „Wewnątrz parku były już krokusy...” O mój Boże, jakże się uśmialiśmy.* Ich najważniejsze osiągnięcia (z wyjątkiem Goldinga) to powieści fantastyczne. I chociaż wszyscy urodzili się przed 1914 rokiem, ich główne dokonania należy datować na okres po zakończeniu drugiej wojny światowej. I najważniejsze: wszyscy ci autorzy mieli jeden wspólny temat. Tym tematem jest problematyka zła. Podchodzili do niego z dużą oryginalnością, czasami w sposób nieledwie obsesyjny, odrzucając wcześniejsze, choćby najbardziej uświęcone tradycją punkty widzenia.

Łatwo zrozumieć, dlaczego temat zła tak ich fascynował. Wszyscy (wyłączając tym razem White'a) byli ofiarami wojny. Orwell został postrzelony podczas hiszpańskiej wojny domowej; zdaniem biografów pisarz był o milimetr od śmierci. Lewis został trafiony odłamkami bomby; przez chwilę myślał nawet, że nie żyje. Mamy niewiele informacji o życiu Goldinga, wiadomo jednak, że w latach 1940–1945 służył w Królewskiej Marynarce Wojennej (*Royal Navy*), był świadkiem zatonięcia *Bismarcka*, a w trakcie operacji lądowania w Normandii (*D-Day*) służył jako oficer na okręcie rakietowym. W powieści *Chytrus* (*Pincher Martin*, 1956) Golding sugestywnie opisał tragizm i horrendum umierania w wodzie. Podczas pierwszej wojny światowej Tolkien uczestniczył aktywnie w walkach 14 lipca 1917 roku jako żołnierz oddziału *Lancashire Fusiliers* (Strzelców z Lancashire) i przez trzy miesiące siedział w okopach, a następnie został zwolniony z powodu odniesionych ran. Doświadczenia bitewne ominęły White'a, który z uwagi na swoje przekonania pozostał w zachowującej neutralność Republice Irlandzkiej. Ale w pewnym sensie to właśnie White był najbardziej uwrażliwiony na problem zła; otwarcie i chyba przekonująco deklarował, że *centralnym tematem* [jego własnego?] „*Morte d'Arthur*”

jest poszukiwanie *antidotum* na wojnę, a w zakończeniu *Księgi Merlina* informował czytelników w języku klasycznej łaciny, iż pisał tę powieść *nationibus certantibus diro in bello (gdy narody walczą w strasznej wojnie), ut pro specie pugnet (aby walczyć w obronie gatunku)* – nie dla ojczyzny, lecz z ogólniejszych pobudek, co nie zmienia faktu, że był gotów walczyć.

Sądzę zatem, że pomimo wielu różnic istnieje pomiędzy tymi pisarzami wyraźne podobieństwo wynikające z przedstawionych właśnie faktów. Podkreślę raz jeszcze, że moim zdaniem głównym tematem przewijającym się przez ich powieści jest natura zła; że temat ten został im narzucony przez doświadczenia z własnego życia (były to zresztą typowo brytyjskie doświadczenia, obce choćby Amerykanom czy większości Europejczyków); że stali się powieściopisarzami w dużej mierze po to, aby temat ten wyartykułować; że wybrali konwencję *fantasy*, bajki czy też fantastyki naukowej, ponieważ czuli, iż problematyki ludzkiego zła nie sposób celnie wyrazić lub bezpośrednio podjąć w manierze czysto realistycznej. Twórcy ci nie odrzucali realizmu, choć zarzut taki często kierowano pod adresem choćby Tolkiena, Lewisa i White'a. Jeśli unikali podejmowania bieżących kwestii politycznych, takich chociażby jak podział klasowy, to nie z powodu strachu czy nieodpowiedzialności, ale dlatego, że w ich odczuciu za kwestiami tymi kryły się zagadnienia znacznie poważniejsze, ignorowane, niepodjęwane czy niezauważane przez autorów zaangażowanych bezpośrednio w politykę. Nie ma najmniejszych wątpliwości, że w przeciwieństwie do wielu autorów i gatunków, które wiążemy z głównym nurtem powieści angielskiej – myślę choćby o prozie lat trzydziestych, o tak zwanych powieściach akademickich, utworach Virginii Woolf czy E.M. Forstera – opisywana tutaj grupa powojennych fantastów była najbardziej zainteresowana tym, co stanowiło główny przedmiot brytyjskiej polityki pierwszej połowy dwudziestego wieku: wojną. Koncentrowali się na problemie w ich mniemaniu najistotniejszym, czyli (powtórzmy) na zagadnieniach natury i pochodzenia zła.

Pisali o tym z niezwykłą i godną podziwu siłą. Bodaj najsłynniejszym obrazem zła pojawiającym się w ich książkach jest ten pochodzący z 1984 Orwella. O'Brien odmalowuje przed Winstonem Smithem wizję przyszłej ludzkości:

Przecieliśmy więzy łączące rodzica z dzieckiem, człowieka z człowiekiem, mężczyznę z kobietą. Nikt już nie ma odwagi zaufać własnej żonie, dzieciom, przyjacielowi. W przyszłości w ogóle nie będzie żon ani przyjaciół. Niemowlęta będą odbierane matkom już przy narodzinach, tak jak zabiera się kurze zniesione jajko. Pociąg seksualny zostanie wypleniony. Prokreacja będzie coroczną formalnością jak prolongata kartek żywnościowych. Zlikwidujemy orgazm. Nasi neurologowie już nad tym pracują. Nie będzie żadnej lojalności poza lojalnością wobec Partii. Nie będzie żadnej miłości poza miłością do Wielkiego Brata. Nie będzie żadnego śmiechu poza triumfalnym śmiechem z pokonanego wroga [...] Wszelkie przyjemności zostaną wyrugowane. Lecz zawsze, nie zapominaj o tym, Winston, zawsze będziemy upajać się władzą, coraz silniej i subtelniej. Zawsze, w każdej chwili, będzie możliwy dreszczyk triumfu, cudowne doznanie biorące się z deptania bezsilnego wroga. Jeśli chcesz ujrzeć obraz przyszłości, wyobraź sobie żołnierski but deptający ludzką twarz. Już na zawsze.

Wizja ta mocno utrwaliła się w pamięci czytelników. Dodajmy jednak: Orwell nie miał żadnej idei czy teorii, która wyjaśniłaby przyczynę opisanych w tym fragmencie działań, pomimo faktu, że pisarz odwoływał się do własnych doświadczeń. Inny uderzający moment w 1984 to scena, kiedy Winstonowi udaje się w końcu zdobyć (od O'Briena) zakazaną książkę zdrajcy Goldsteina, opowiadającą o tym, jak Partia zdobyła i utrzymuje władzę. Cytaty z książki Goldsteina zajmują ponad jedną dziesiątą powieści. Jest oczywiste, przynajmniej dla mnie, że Orwell próbuje wyjaśnić czytelnikowi, jaka jest geneza świata przedstawionego w 1984. W tym

sensie Goldstein to jedynie „zawołowany narrator”, a jego książka jest czymś w rodzaju „dziennika kapitana”, formy narracyjnej dobrze znanej z licznych powieści *science fiction*, łączącej rzeczywistość przeszłości z wyobrażoną przyszłością. Problem w tym, że kiedy Winston dochodzi w końcu do pytania, którego nie sposób nie postawić, pytania o „fundamentalną tajemnicę” i „pierwotny motyw”, o to, *dlaczego* Partia postępuje tak a nie inaczej, nagle przerywa lekturę! Orwell nieoczekiwanie wtrąca w tym miejscu scenę z zasypiającą Julią. Winston obiecuje sobie dokończyć lekturę następnego dnia, co jednak nie następuje; również czytelnik nie poznaje kolejnych partii książki Goldsteina. To osobliwy moment. Tak jakby Orwell przyznawał, że nie potrafi wyjaśnić, dlaczego ludzie czują się przyciągani przez zło. Wiedział wprawdzie, czym jest zło, ale nie był w stanie zrozumieć perwersyjnej przyjemności płynącej z zadawania cierpienia.

W przeciwieństwie do Orwella, Lewis wysuwa dość skomplikowaną tezę mającą tłumaczyć źródła zła w dwudziestym wieku. Można zauważyć, że autor *Opowieści z Narnii* ma tendencję do kojarzenia obrazów zła z trywialnymi, choć nieco makabrycznymi sytuacjami (zarazem, podobnie jak Goldingowi, zdarza mu się wyłączać wojnę z kategorii rzeczy naprawdę przerażających). I tak w dziewiątym rozdziale *Perelandry* Lewis pozwala sobie na długi opis dręczenia żaby przez Nieczłowieka (*Un-man*). Bohater powieści próbuje ukrócić jej męki. Jest „wstrząśnięty” i „zbiera mu się na wymioty”. Lewis zauważa wprawdzie: *Może to dziwić u kogoś, kto był w okopach nad Sommą*, nie rezygnuje przecież z podkreślenia, że bohater jest przerażony. Zła nie można mierzyć jedynie użytą siłą czy wielkością osiągniętego rezultatu – liczy się również intencja. W opublikowanej w 1945 roku *Tej obydnej Sile* Lewis, tak jak Orwell, wydaje się zdruzgotany bezsensownymi i ponurymi wizjami przyszłości, jakie snują spiskowcy. W pewnym momencie członkowie PIBS-u (Państwowego Instytutu Badań Koordynowanych, *National Institute for Co-ordinated Experiments*) ujawniają swoje prawdziwe zamiary. Filostrato, szalony naukowiec, przyznaje, że ideałem PIBS-u jest zniszczenie życia na rzecz Umysłu (*Mind*): *Musimy się go [życia] pozbyć. Oczywiście stopniowo. Powoli uczymy się, jak tego dokonać. Jak sprawić, aby nasze mózgi żyły przy coraz mniejszym udziale ciała. Musimy nauczyć się, jak budować nasze ciała bezpośrednio przy pomocy związków chemicznych, bez napychania ich martwymi zwierzętami i zielskiem. Jak rozmnażać się bez kopulacji.*

To chyba nie byłoby specjalnie przyjemne – powiedział Winter.

Mój przyjacielu, zdążyliście już oddzielić przyjemność od płodności. Sama przyjemność zaczyna powoli zanikać. Ba! Wiem, że jesteś innego zdania. Ale spójrz tylko na wasze Angielki. Na dziesięć z nich sześć jest oziębła, prawda? Widzisz? Sama natura zaczyna rezygnować z tego anachronizmu.

Dodajmy na marginesie, że *Filostrato* znaczy *pokonany przez miłość*. Lewis świetnie o tym wiedział – patrz jego esej *What Chaucer really did to Il Filostrato* (*Co Chaucer w istocie zrobił z „Il Filostrato”* [*Il Filostrato* to tytuł noweli Boccaccia]). W ten sposób chciał zapewne powiedzieć, że Filostrato to fanatyk z zasadami, zakochany w swojej szalonej wizji, zarazem usiłujący zniszczyć miłość między ludźmi.

Ale idźmy dalej. Trudno nie zauważyć, co tak naprawdę kryje się za poglądami członków PIBS-u. W istocie są oni finalnym produktem antyreligijnego i scjentyistycznego stanowiska, które Lewis jednoznacznie łączył z H.G. Wellsem i jego następcami; zresztą w powieści *Z milczącej planety* stworzył parodię ich marzeń o ekspansji naukowej i pseudodarwinowskiej ewolucji, a w *Tej obydnej Sile* przedstawił rozpoznawalną karykaturę Wellsa w postaci Horacego Julesa, dyrektora PIBS-u. Lewis zasadniczo zgadzał się z poglądem George’a B. Shawa: teoria ewolucji, przynosząc utratę wiary i erozję moralności, doprowadziła do dwóch

wojen światowych. Poglądu tego nie podzielali inni z omawianych w tym tekście autorów, włączając w to Tolkiena. Odnajdziemy jednak u nich ślady takiego myślenia; pewne podobieństwa można także zauważyć w ponurych wizjach O'Briena i Filostrata.

Ewolucja jest także kluczowym pojęciem w powieściach T.H. White'a. Podobnie jak Lewis, White miał w stosunku do niej złożony i ambiwalentny stosunek. W *Mieczu dla Króla* (*The Sword in the Stone*) chłopiec o imieniu Wart, przyszły Król Artur, przemienia się w różne zwierzęta. Każdy gatunek uczy go czegoś dobrego lub złego. White zdecydowanie odrzuca jednak stanowisko, w myśl którego ludzkość osiągnęła szczytowy punkt ewolucji. W *Księdze Merlina* (rozdział 5) tytułowy czarodziej – nawiasem mówiąc, Merlin to również jeden z głównych bohaterów *Tej ohydnej Siły* Lewisa – przekonuje, że opisywanie ludzkości w kategoriach *homo sapiens* jest błędne. Najbardziej rozpoznawalną cechą człowieka jest okrucieństwo, a nie umiejętność posługiwania się rozumem. Zdaniem Merlina człowiek to w istocie „*homo ferox*” – *Pomysłodawca Pastwienia się nad Zwierzętami, gotów poświęcić bajorńskie sumy na bodowlę bażantów dla samej przyjemności ich zabijania, tresować jedne gatunki stworzeń do mordowania innych, podpalać żywe szczury – co na własne oczy widziałem w Irlandii – aby ich przeźrliwe piski odstraszyły inne okoliczne gryzonie, rozmyślnie rujnować wątroby udomowionych gęsi na swoje ulubione pasztety, odpilowywać bydłu rogi celem usprawnienia jego transportu do rzeźni, wykluwać oczy szczygłom, by zmusić je do śpiewu, gotować żywcem homary i krewetki, słuchając ich żalonych popiskiwań, wypowiadać wojny własnemu gatunkowi, wyrzynając w każdym stuleciu dziewiętnaście milionów osobników, dokonywać publicznych egzekucji na bliźnich uznanych za winnych przestępstwa, własne potomstwo torturować za pomocą kija lub zamykać w obozach koncentracyjnych zwanych szkołami, gdzie zadawanie tortur można zlecić pośrednikom... Tak, tak, słusznie wątpisz, czy godzi się nadać człowiekowi miano ferox, gdyż w świecie szanujących się zwierząt przydomek ów, właściwy stworzeniom bytującym dziko w przyrodzie, żadną miarą nie pasowałby do tak wynaturzonej istoty.*

Nie ma większych wątpliwości, że Merlin to „zawołowany narrator” (podobnie jak Goldstein z 1984), *alter ego* White'a. Słowa Merlina o rzeczach, które „na własne oczy widział w Irlandii”, odnoszą się do White'a i jego pobytu w Irlandii w latach wojny. Kiedy czytamy, że Merlin oskarża tych, którzy tresują zwierzęta do zabijania innych zwierząt, czy też biją dzieci w szkole, to musimy pamiętać, że White był nauczycielem w angielskiej szkole publicznej, gdzie stosowano kary cielesne, i że z pasją oddawał się sokolnictwu. Pisarz krytykuje samego siebie – nie tylko w tym, co mówi Merlin, ale właściwie w całej tetralogii *Był sobie raz na zawsze król*. Wielokrotnie przy tym podkreśla, że ludzkie zło nie ma źródła w polityce czy dziewiętnastowiecznym kryzysie wiary: jest ono wrodzone. White w oryginalny sposób reinterpretuje legendę Króla Artura, aby uzasadnić swoją tezę. Począwszy od trzynastego wieku próbowano wyjaśnić, dlaczego Lancelot zabił Garetha, przyjaciela i sojusznika, gdy ten stał nieuzbrojony, nie chcąc przeciwstawić się działaniom Lancelota zmierzającym do uwolnienia Ginewry. Od wieku dwunastego przyjęło się uważać, że Bitwa pod Camlann (czyli ostatnia bitwa Króla Artura) wybuchła wbrew zamiarom zainteresowanych stron, kiedy jeden z rycerzy wyciągnął miecz, aby zabić zmięję, budząc popłoch innych. White zmienił ten ostatni incydent, sprawiając, że stał się on jeszcze bardziej bezsensowny. W jego wersji wąż nie jest jadowitą zmięją, lecz niegroźnym zaskrońcem (*notabene* jednym z życzliwych stworzeń pojawiających się w *Mieczu dla króla*). Rycerz uderza go mieczem nie dlatego, że jest niebezpieczny, ale ponieważ tak właśnie robią ludzie. W taki sam sposób Lancelot atakuje nieuzbrojonego Garetha. Jak sam tłumaczy, ludzie

to straszne istoty [...] *Gdy idąc polem widzimy kwiat, ścinamy patykiem jego koronę. Tak zginął Gareth.* Jak Lewis, White potrafi odnaleźć najgorsze obrazy zła w tym, co trywialne – w *paté de foie gras* lub w scenie z Kajem strzelającym do ptaków dla zabawy. Jego pogląd na wojny, obozy koncentracyjne i masowe morderstwa zawiera się w przekonaniu, że są one częścią *continuum*, które zakorzenione jest w genach i bierze początek w codziennym życiu.

Mój ostatni przykład powojennych wizji zła jest najbardziej oczywisty i ma najbardziej bezpośrednią formę. Myślę o opublikowanym w 1965 roku eseju Goldinga *Fable (Bajka)*. Golding napisał ten tekst między innymi po to, aby wyjaśnić swoim dociekliwym studentom, o co mu chodziło we *Władcy much*. Czytamy: *Przed drugą wojną światową wierzyłem, że człowiek jako istota społeczna może się doskonalić; że dobra organizacja społeczna owocuje dobrą wolą; że można usunąć społeczne zło, reorganizując społeczeństwo. Możliwe, że dzisiaj znowu w coś takiego wierzę; ale zaraz po wojnie było inaczej. Odkryłem wtedy, do czego zdolne są istoty ludzkie. Nie chodzi mi o strzelanie do ludzi z karabinów, rzucanie na nich bomb czy zabijanie torpedami. Chodzi mi o niewyobrażalną wręcz podłość, z jaką w tamtych latach mieliśmy do czynienia w państwach totalitarnych. Wystarczy przypomnieć, ilu Żydów zostało wtedy wymordowanych. Mówi się o likwidacji ludzi – ładne, eleganckie słowo – ale robiono wtedy rzeczy, o których nawet teraz nie mogę myśleć bez uczucia mdłości [...] Zresztą nie chcę tego rozwijać. Chciałbym tylko powiedzieć, że jeśli ktoś przeżył tamte lata, nie widząc, że człowiek wytwarza zło tak, jak pszczoła wytwarza miód, to musiał być ślepy bądź szalony.*

Zgodnie z tym poglądem, bardzo podobnym do stanowiska White'a, zło jest po prostu efektem genów: ludzie wytwarzają zło instynktownie bądź odruchowo. Golding przyznaje, że takie stanowisko może być uprzedzone i uwarunkowane indywidualnymi doświadczeniami, sugeruje też, że mógłby je zmienić. Podkreśla jednak: jeśli ktoś przeżył to, co on, i nie podzielał jego zdania, *to musiał być ślepy bądź szalony*. Mówiąc inaczej, Golding gotów jest przyjąć istnienie głębszego spojrzenia na człowieczeństwo niż to opisane we *Władcy much*, ale spojrzenie takie byłoby niepełne, gdyby zupełnie wykluczało jego punkt widzenia. W wyjaśnieniach Goldinga wyczuwamy sporą dozę rozczarowania, podobnie jak u Orwella i Lewisa. Autor *Chytrusa* zaznacza, że przed drugą wojną światową wierzył w możliwość doskonalenia się istoty ludzkiej. Wojna odarła go z tej wiary. Podobnie stało się z Orwellem, co dobrze widać w *Folwarku zwierzęcym*, tej alegorii rozczarowania (choć warto zauważyć, że w przypadku Orwella rozczarowanie przyszło wcześniej, być może podczas rekonwalescencji po powrocie z Hiszpanii w 1937 roku). Jeśli chodzi o Goldinga, to odnotujmy, że był wyraźnie przejęty twórczością H. G. Wellsa, ale jeszcze wyraźniej twórczość tę odrzucał. W opowiadaniu *Ambasador nadzwyczajny (Envoy Extraordinary)*, 1956) z tomu *Bóg Skorpion* mamy do czynienia z sympatyczną parodią Wellsa. *Spadkobiercy* (1955) to już poważniejsza i mocno krytyczna odpowiedź na opowiadanie Wellsa *The Grisly Folk*. Można też bronić tezy, że we *Władcy much* Golding czyni aluzję do Wellsowskiego opisu powstania religii w onegdaj popularnej, a teraz prawie zapomnianej *Historii świata (The Outline of History)*, 1920); warto choćby przeczytać pojawiające się w indeksie hasła związane z imieniem *Baala* bądź *Baal-zebuba*, czyli tytułowego „władcy much”. Wyraźny u Goldinga moment rozczarowania odnosił się w części do obietnic nauki i rozumu; pisarz ten jednak, w odróżnieniu od Lewisa, nie powrócił do chrześcijaństwa i wiary w to, że zło jest lub może być efektem diabelskich podszeptów.

Podsumowując dotychczasowy tok rozumowania, można powiedzieć, że Orwell nie potrafił wyjaśnić pochodzenia zła w epoce nowożytnej; Lewis próbował tłumaczyć je w tradycyjnie religijny sposób; White odwoływał się do wyjaśnień

genetycznych; Golding zaś wahał się między Whitem i Orwellem, zgadzając się jednak z diagnozami Lewisa. Warto dodać, że wszyscy ci pisarze tropili te same problemy; wszyscy pisali z autentyczną goryczą i zgrozą; żaden z nich nie zwracał najmniejszej uwagi na to, jak czasy współczesne, włączając w to kulturę, tłumacząc politycy, przywódcy religijni, krytycy literaccy czy nawet przedstawiciele „wielkiej tradycji” powieści angielskiej.

Czy twórczość Tolkiena wpisuje się w tak zarysowany schemat? Trudno o jednoznaczny odpowiedź. Podobnie jak czterej wspomniani pisarze, autor *Władcy pierścieni* odrzucał nowoczesną literaturę. Nie wykazywał też większego zainteresowania polityką, odkryciami genetyki, nauką, problemem kryzysu wiary czy twórczością Wellsa. Jego główną fascynacją była filologia jako dyscyplina akademicka. Co istotniejsze, trudno znaleźć w jego książkach choćby jeden fragment, który przypominałby grozą wspomniane już sceny z powieści Orwella i White'a, albo też obrazy rozpruwania wnętrza żaby (u Lewisa) i mordowania chłopca (Simona we *Władcy much*). W powieściach Tolkiena groza ma miejsce „poza sceną”, tak jak w przypadku sugestywnych śladów po *straszliwej sceny rzezi i uczy* (*a place of dreadful feast and slaughter*) w czwartej części *Władcy Pierścieni*. Szeloba, Upiory Pierścienia (*Ringwraiths*) i plemię Uruk-hai nie wysuwają takich oskarżeń pod adresem ludzkości, jakie wysuwają O'Brien, Filostrato i Merlin. Znamienne, że kiedy po prezentacji niniejszego tekstu na konferencji Tolkienowskiej w Turku zapytałem słuchaczy, czy mogliby dać przykłady metafizycznego zła w utworach Tolkiena, Profesor Verlyn Flieger przypomniał scenę rozgrywającą się w Komorach Ognia (*Sammath Naur*), kiedy Frodo nie chce oddać Pierścienia (rozdział VI). Oto ta scena: *Frodo drgnął. Gdy się odezwał, głos jego wydał się Samowi tak dźwięczny i donośny jak nigdy; poprzez zgiełk i zamęt Orodruińy słowa rozbrzmiewały wyraźnie pod stropem i między ścianami tunelu.*

– *Przyszedłem – powiedział Frodo. – Ale nie spełnię tego, po co tu dążyłem. Nie uczynię tego. Pierścień należy do mnie.*

I nagle wsunął Pierścień na palec, by zniknąć Samowi sprzed oczu.

To wyjątkowo złowieszczy i potencjalnie katastrofalny moment. Wsuniecie Pierścienia na palec jest równoznaczne z przejściem na drugą stronę, stronę zła. W przyszłości doprowadzi to do zniszczenia i zniewolenia Śródziemia; Frodo stanie się jednym z upiorów albo nowym Sauronem. Ta jedna chwila niweczy wszystko, co do tej pory osiągnięto. Zarazem niełatwo w przytoczonej scenie dopatrzeć się obrazu zła. Nie jest wszak do końca jasne, czy Frodo istotnie czyni coś złego. Kiedy mówi „Pierścień należy do mnie”, potwierdza stan rzeczy, który trudno byłoby kwestionować z punktu widzenia prawa. Nie ukradł go przecież: Pierścień został mu подарowany. Nawet Bilbo może zostać nazwany jedynie złodziejem. Nie zmienia to oczywiście wagi przywołanej właśnie sceny. Należy jednak zauważyć, że Tolkien daleki jest od przedstawiania bezsensownego, jałowego i egoistycznego okrucieństwa zła, tak jak to czynią pozostali z omawianych przeze mnie pisarzy.

Autor *Władcy Pierścieni* miał jednak swoją teorię na temat zła. Można nawet sądzić, że kwestią tą interesował się równie głęboko jak omawiani wcześniej autorzy. W *Drodze do Śródmorza* analizowałem historyczno-filologiczne aspekty tej teorii, stwierdzam tam między innymi, że stanowisko Tolkiena jest pod pewnymi względami bardzo nowoczesne, zwłaszcza jeśli chodzi o kluczową koncepcję zła jako nałogu. Dowodzę także, że Tolkien przyznawał równe miejsce dwóm starym, przeciwstawnym wizjom zła: chrześcijańskiej, rozwiniętej przez Boecjusza koncepcji, w myśl której zło jest brakiem, duchową pokusą lub iluzją; oraz nordyckiej koncepcji zła jako zewnętrznej potęgi, z którą trzeba walczyć fizycznie. Przeplatanie się obu idei daje w rezultacie wyraźny, indywidualny, jedyny w swoim rodzaju

obraz natury życia w tym świecie; myślę, że to między innymi dzięki temu dzieła Tolkiena zyskały taką popularność.

Jak wielokrotnie podkreślałam w *Drodze do Śródziemia*, gros czytelników książek Tolkiena, włączając w to recenzentów i krytyków, nie akceptowało jego poglądów; niektórzy nawet ich nie dostrzegali. Za komentatora szczególnie wobec Tolkiena wrogiemu należy uznać Edwina Muira. Muir recenzował poszczególne tomy *Władcy pierścieni* w momencie ich ukazywania się (recenzje z 22 sierpnia 1954, 21 listopada 1954 i 27 listopada 1955 roku, wszystkie w *Observerze*). Nie wiem, czy jest prawdą, że opublikowana 25 listopada 1955 roku w *The Times Literary Supplement* anonimowa recenzja wyszła spod pióra Muira, lecz jeśli tak (a są głosy, które to potwierdzają), to wypadaloby mówić o czterech podejściach do Tolkiena – może nawet pięciu, jeśli dorzucić list do *TLS*, opublikowany 9 grudnia, w którym anonimowy recenzent ustosunkowuje się do własnych zarzutów. Tym, co łączy te cztery czy pięć tekstów, jest ewidentne pragnienie poniżenia Tolkiena. Muir czepia się wszystkiego: niedojrzałości, braku wyczucia stylu, etc. Powtarza zarzut nieumiejętności zadowalającego przedstawienia zła. W pierwszej recenzji dla *Observera* narzeka, że *dobrzy bohaterowie [Tolkiena] są nieodmiennie dobrzy, zaś źli są zawsze źli; w tym świecie nie ma miejsca na Szatana, który byłby jednocześnie zły i tragiczny*. W trzeciej recenzji krytykuje zaproponowane przez Naomi Mitchison porównanie cyklu powieściowego Tolkiena z *Morte d'Arthur* Thomasa Malory'ego: *Bohaterowie Okrągłego Stołu nie skończyli szczęśliwie. Byli równie odważni co bohaterowie Pierścienia, ale nieobce im były pokusy, zdarzało im się łamać własne przysięgi, czuli się też rozdarci pomiędzy sprzecznymi uczuciami miłości i obowiązku*. Recenzja w *The Times Literary Supplement* powtarza zarzut powierzchownego przedstawienia złych bohaterów: *jeśli nie liczyć okrucieństwa w walkach, nigdy do końca nie wiemy, na czym polega ich nikczemność*; jeśli zaś chodzi o drugą stronę, *wydarza się, że w ich charakterach nie ma niczego, co można by nazwać prawością*. Oto zatem najczęściej powtarzające się zastrzeżenia Muira: *źli bohaterowie nie są przekonująco opisani; dobrzy bohaterowie są jednowymiarowi; choć obie strony są przedstawione w sposób nierealistyczny, jako czyste dobro i czyste zło, to ich zachowanie jest identyczne, zwłaszcza jeśli chodzi o używanie siły*. Kiedy mój dawny kolega, David Masson, napisał do *TLS* list (ukazał się 9 grudnia 1955 roku), w którym dość ostrożnie wykazywał, że recenzent dopuścił się szeregu błędów faktograficznych i mylił się w kwestiach związanych z przedstawieniem dobra i zła, recenzent odpowiedział: *W książce dobrzy próbują zabić złych, a źli próbują zabić dobrych. Nie robią nic innego. Obie strony są odważne. Pod względem moralnym nie ma nic, co pozwoliłoby dokonać wyboru między nimi*.

Niektóre z tych zarzutów są pod względem faktograficznym równie absurdalne co powtarzające się w recenzjach (również tych autorstwa Muira) błędy w oddawaniu imion poszczególnych postaci. Jeśli twierdzi się na przykład, że dobrzy bohaterowie Tolkiena są *nieodmiennie dobrzy*, to co zrobić z takimi, wcale licznymi, postaciami, jak Boromir, albo ze sceną, w której Frodo nie chce oddać Pierścienia? Również zarzut, że zło jest niezmiennie złe, nie jest do końca trafny – wszak nawet Sauron *nie zawsze był taki*; niejednoznaczne jest też przedstawienie Upiorów Pierścienia. Moim zdaniem należy raczej zadać pytanie, co kryje się za wzmożonym niepokojem recenzentów. Weźmy na przykład zarzut, że *Władca pierścieni* nijak się ma do wzorców literackich: czemu Muira nie przypomina *Raju utraconego*, w którym Szatan przedstawiony jest jako postać *równocześnie zła i tragiczna*? Jedną z możliwych odpowiedzi zaproponował C.S. Lewis, który w *Perelandrze* dał nam długi komentarz do poematu Milтона. W rozdziałach 9 i 10 Lewis zmierza ku dość wyraźnej konstatacji: *pośepny, tragiczny Szatan z „Raju utraconego”*,

a także *gładki i subtelny Mefistofeles* z tradycji Faustowskiej, to fałszywe obrazy tego, czym naprawdę jest zło. Muir pyta dalej: dlaczego bohaterowie i bohaterki Tolkiena nie są jak postacie z legend Arturiańskich, zwłaszcza Lancelot i Królowa Ginewra, z ich grzeszną, niszczycielską namiętnością? Odpowiedzi na to pytanie udzielił z kolei T.H. White, który, jak już zaznaczyliśmy, odrzucił standardowe interpretacje mitów Arturiańskich, stojąc na stanowisku, że w prawdziwym świecie zło jest instynktownym odruchem, nie ma charakteru indywidualnego i w najmniejszym stopniu nie jest podniecające. Muir próbuje narzucić Tolkienowi wzorzec literacki, a następnie oburza się, że Tolkien go odrzuca. A przecież Tolkien i inni pisarze zdawali sobie sprawę z faktu, że stare wzorce literackie nie są w stanie wyrazić dwudziestowiecznego doświadczenia zła.

Warto też zwrócić uwagę na kwestie okrucieństwa, litości i przemocy. Tolkiena oburzało oskarżenie o brak litości. 12 grudnia 1955 roku pisał do Davida Massona: *w książce, która od początku do końca traktuje o Litości, same gesty „okazywania litości” nie są już takie istotne*. Inni odpowiadali podobnie. Masson argumentował, że *Władca Pierścieni* ukazuje opozycję nie tyle pomiędzy Dobrem i Złem, ile *miłością i nienawiścią*, a W.H. Auden zauważył, że kontrast pomiędzy dobrem i złem zawiera się w samej strukturze książki – dobro potrafi wyobrazić sobie zło (dlatego ani Gandalf, ani Galadriel, ani Faramir, ani Frodo nie chcą brać Pierścienia aż do samego końca opowieści), ale zło *nie potrafi wyobrazić sobie niczego poza samym sobą* (dlatego Sauron bez najmniejszego wahania podąża ku Komorom Ognia). Trzeba jednak przyznać, że „synchroniczne” spojrzenie na problematykę powieści jest niewystarczające, aby w pełni odeprzeć zarzuty pojawiające się we wspomnianych recenzjach. Musimy spróbować zrozumieć, jakim konkretnym niepokojom dali wyraz recenzenci, jakiego rodzaju wyzwaniem dla moralnych wyroczeni oficjalnej kultury był Tolkienowski pogląd na kwestie dobra i zła.

Znowu wypada podkreślić znaczenie momentu biograficznego. Krytykom Tolkiena często nie podobało się, że w jego opowieści siły dobra nieustannie używają przemocy. W kontekście literatury heroicznej wcześniejszych epok – stanowiącej przedmiot akademickich badań Tolkiena – tego rodzaju krytyka jest po prostu dziwaczna. Trudno sobie wyobrazić, aby Beowulf próbował przemawiać Grendelowi do rozumu, albo żeby Sir Gawain odmówił ścięcia Zielonego Rycerza, choć tego właśnie od niego się wymaga. W XX wieku nauczyliśmy się jednak gorzkiej lekcji, że *przemoc rodzi przemoc*. Na przykład zwycięstwo w pierwszej wojnie światowej zrodziło chęć odwetu, co z kolei doprowadziło do wybuchu drugiej wojny. Nie było też wyraźnego rozróżnienia na dobrych i złych, niezależnie od tego, co twierdziła oficjalna propaganda. Najpowszechniejszą reakcją na tego typu dylematy było stwierdzenie, że *przemoc jest zawsze zła, a cel nigdy nie uświęca środków*. W tym właśnie duchu stowarzyszenie Oxford Union przyjęło w 1937 roku słynną deklarację mówiącą, że *nasza Izba w żadnym przypadku nie będzie walczyć za Króla i kraj*; w tym duchu recenzent *TLS* mógł oświadczyć, że *pod względem moralnym nie ma nic, co pozwoliłoby dokonać wyboru między nimi*; w tym wreszcie duchu należy rozumieć słowa z recenzji w *Observerze* wzywające do zatarcia różnic między dobrem i złem (w odniesieniu do motywacji) i jednoczesnego ich podkreślenia (w odniesieniu do czynów). Tak oto dobro i zło definiowane są w relacji do siły.

Przekonania tego nie podzielali niektórzy z omawianych tutaj pisarzy. Jak wspomniałem, Golding wykluczał ze swojej definicji zła działania wojenne. W jednej z kluczowych scen *Perelandry* Lewisa (opublikowanej, przypomnijmy, w 1943 roku) główny bohater powieści, akademik i pacyfista, zdaje sobie sprawę, że nie ma sensu dyskutować z Nieczłowiekiem, który nastaje na niewinność

Zielonej Pani – trzeba podjąć z nim fizyczną walkę; z kolei *Ta obydna Siła* kończy się rzezią, tak niewinnych (czy częściowo niewinnych), jak i winnych. Orwell zawsze dawał wyraz przekonaniu, że druga wojna światowa wymaga od nas walki do końca, odwołując się do tkwiących w nas wszystkich rezerw patriotyzmu. Stosunek White'a do użycia siły jest niejednoznaczny, ale pisarz wyraźnie przedstawia ideę Okrągłego Stołu jako próbę (nieudaną, choć być może na dłuższą metę udaną) ucywilizowania wrodzonego nam popędu do przemocy. W tym kontekście dobrzy, a zarazem brutalni, mili, a zarazem krwiożerczy bohaterowie Tolkiena – przymiotniki te wyjątkowo trafnie opisują króla Théodena – nie wydają się tak ekscentryczne, paradoksalne czy bezmyślne, jak sugerowało wielu recenzentów. Wszyscy powojenni powieściopisarze, którymi się tutaj zajmuję, byli bardzo wyczuleni na to, jak dobre intencje mogą przerodzić się w zło; pomyślmy choćby o Sauronie czy knurze Napoleonie z *Folwarku zwierzęcego*. Dlatego zdecydowanie odrzucali powszechnie akceptowane stanowisko Muira (i wielu późniejszych krytyków), zgodnie z którym bierność jest usprawiedliwiona, albowiem zapobiega wypaczeniu dobra. Chciałoby się dodać, że czynili to nauczani własnym doświadczeniem. Czterech z nich było świadkami bitew, wszyscy stracili przyjaciół, dwóch z nich zostało rannych: nie zamierzali przyjąć do wiadomości, że wszystko to mogło być wynikiem błędu. Inaczej widzieli to ich krytycy, pochodzący w większości z najbardziej uprzywilejowanych klas brytyjskiego społeczeństwa. Łatwo wierzyć, że ignorowane zło zniknie, jeśli tkwi się bezpiecznie w środowisku akademickim.

Również w moim odczuciu kwestia legitymizacji przemocy jest ważna i daleka od abstrakcji, zwłaszcza w kontekście życiowych doświadczeń Tolkiena czy Goldinga. Ja sam, choć urodziłem się w 1943 roku, spotkałem Anglików, którzy – wiem to na pewno – strzelali do poddających się więźniów; palili ludzi żywcem; zabijali bezbronne kobiety i dzieci. W normalnym życiu byli miłymi, uczciwymi obywatelami, którzy nigdy nie dokonaliby takich okrucieństw – *chyba, że chodziliby o działania w czasie wojny*. Byli przekonani (z pewnymi wyjątkami i w różnym stopniu), że wojna usprawiedliwia okrucieństwo. Problem, jaki wiąże się z takimi ludźmi – nie mam wątpliwości, że omawiani przeze mnie powieściopisarze byli bardziej ode mnie tego świadomi – ma charakter dylematu: jak przeciwstawiać się złu, nie padając jednocześnie jego ofiarą? Wydaje mi się, że duża część *Władcy Pierścieni* – to samo dotyczy *Władcy much* i cyklu powieściowego White'a – dotyczy tego właśnie problemu. Z pewnością nie rozwiążemy go, jeśli przyjmemy razem z Muirem, że należy zrezygnować z czynnego oporu, albo jeżeli założymy, że zło jest wytworem umysłu.

Podsumujmy. Tolkiena można nazwać pisarzem powojennym, jednym z grupy angielskich twórców piszących o wojnie i złu, czerpiących tematy z własnego życia i pozostających pod niewielkim wpływem kultury oficjalnej (zarówno literackiej, jak i politycznej). Pisarze ci preferowali konwencje nierealistyczne, głównie dlatego, iż sądzili, że piszą o sprawach zbyt wielkich i ogólnych, by można je było powiązać z konkretnymi realiami. Ich poglądy na zło bardzo się różniły, miały jednak wspólny mianownik – stanowiły wyzwanie dla konformistycznych poglądów ich współczesnych. Zapewne dlatego żaden z omawianych w niniejszym szkicu autorów (poza Goldingiem) nie znalazł się w kanonie lektur akademickich; żaden też nie został krytycznie zinterpretowany tak, *jak zapewne życzyłby sobie tego sam autor*, by zacytować autora *Hobbita*. Pokazałem, mam nadzieję, że powieściowa twórczość Tolkiena może być postrzegana w kontekście współczesności. Zależało mi też na uwypukleniu literackiego i politycznego znaczenia grupy pisarzy, z którymi go skojarzyłem, nie mówiąc już o podkreśleniu wagi podejmowanych przez nich problemów. ■

Thomas Alan Shippey – brytyjski literaturoznawca i krytyk literacki, wykładał na uniwersytetach w Cambridge i Leeds. Specjalizuje się w twórczości J.R.R. Tolkiena. Opublikował m.in. „Droga do Śródziemia” (1982, pol. tłum. 2001), „J.R.R. Tolkien. Pisarz stulecia” (2001, pol. tłum. 2004). Przedstawiony wyżej artykuł ukazał się w numerze specjalnym czasopisma „Mythlore” (21), 2/1996 poświęconym życiu i dziełu Tolkiena. Później tezy tego artykułu znalazły odzwierciedlenie w rozszerzonym wydaniu „Drogi do Śródziemia” z 2003 roku.

T.A. Shippey

Tolkien jako pisarz powojenny

W książce *The Road to Middle-earth (Droga do Śródziemia)* podjąłem próbę odczytania Tolkiena w kontekście jego pracy akademickiej. Twierdzą w niej, że dzieła Tolkiena były w dużej mierze efektem jego działalności naukowej jako profesora języka angielskiego; że jego twórczość nieustannie czerpała z tekstów i technik, które przez całe życie badał i których uczył; że w tym sensie należał do długiej tradycji filologów, którzy wychodząc od historii martwych języków usiłowali odtworzyć zaginione literatury powstałe w tych językach. I podobnie jak ten filolog używał asterysku na oznaczenie „zrekonstruowanego” słowa, aby przejść do zrekonstruowanej opowieści lub wiersza, tak że Tolkien przechodził od słowa z asteryskiem do „odtworzonej opowieści”, w końcu zaś do czegoś w rodzaju „rzeczywistości z asteryskiem” (*asterisk-reality*). Konstatacje te mają posmak wyraźnie historyczny. Chodziło mi przy tym nie tylko o utwory literackie Tolkiena; dowodziłem, że również jego praca naukowa traktuje w dużej mierze o problematyce historii i zmiany. W większości – ale nie w całości. Od czasu badań de Saussure’a wiemy, że języki można analizować nie tylko diachronicznie, na modłę tradycyjnej filologii, lecz także synchronicznie, jako systemy funkcjonujące równolegle w danym momencie. Uważam zatem, pomimo argumentacji rozwijanej w *Drodze do Śródziemia*, że sens ma interpretowanie dzieła Tolkiena, zwłaszcza *Władcy pierścieni*, nie tylko w kontekście jego biografii i spuścizny naukowej, ale również w kontekście czasu, w jakim powstawały utwory. W przypadku *Władcy pierścieni* chodzi o lata 1954–1955.

Wydawcy Tolkiena (Allen & Unwin) musieli być świadomi tego, że podejmują spore ryzyko, publikując dzieło praktycznie bezprecedensowe lub precedensowe w niewielkim stopniu (pisze o tym Humphrey Carpenter w swojej biografii Tolkiena z 1977 roku). W pewnym sensie mieli rację. Dzisiaj, z perspektywy lat, widać jednak wyraźnie, że trylogia Tolkiena nie była dziełem tak wyjątkowym, jak wówczas uważano. Można nawet powiedzieć, że najważniejsze angielskie powieści opublikowane w pierwszej powojennej dekadzie mają ze sobą i z dziełami Tolkiena znacznie więcej wspólnego niż gotowi byłiby przyznać krytycznoliteraccy ortodoksi. Do niekwestionowanych arcydzieł tamtego okresu należy zaliczyć *1984* i *Folwark zwierzęcy* George’a Orwella (1949, 1945), a także *Władcę much* Williama Goldinga, książkę opublikowaną w roku ukazania się pierwszego tomu *Władcy pierścieni*. Początkowo niedoceniana tetralogia T.H. White’a *Był sobie raz na zawsze król* (*The*

Once and Future King, 1958) od lat nieprzerwanie zyskuje na popularności i znaczeniu. Dodajmy do tego *Tę obydłą Siłę* (*That Hideous Strength*, 1945) C.S. Lewisa. Powieści te wykazują moim zdaniem zaskakujące podobieństwa. Po pierwsze, nie są to utwory realistyczne, niezależnie od tego, czy określimy je mianem fantastyki naukowej, *fantasy*, bajki czy przypowieści – a takie terminy pojawiają się w krytyce literackiej. Po drugie, są to książki zdecydowanie naznaczone przez wojnę, a ich autorów można zasadnie nazwać powojennymi – nie tylko z uwagi na chronologię.

Ktoś zapyta, o którą wojnę tutaj chodzi? Często sądzi się – i jest to naturalne, jeśli pamiętamy o takich fragmentach *Władcy pierścieni* jak opis Martwych Bagien, zawierający wyraźne reminiscencje zniszczonych krajobrazów i martwych ciał na polach bitewnych Flandrii – że Tolkien jest pisarzem ukształtowanym przez pierwszą wojnę światową. Warto jednak wziąć pod uwagę kilka dat i miejsc. Z pięciu wymienionych pisarzy Tolkien był najstarszy: urodził się w 1892 roku w Bloemfontein w Południowej Afryce. Lewis przyszedł na świat w 1898 roku w Belfaście. Orwell urodził się w 1903 roku w Bengalu, White w 1906 roku w Bombaju, a Golding w 1911 roku w Kornwalii – jako jedyny urodził się w Anglii, choć wszyscy poczuli się do bycia pisarzami angielskimi. Można by sądzić, że główny nurt ich twórczości został ukształtowany jeszcze przed wybuchem drugiej wojny światowej. Tak jednak nie jest. Orwell pisał i publikował powieści od 1935 roku, ale mają one dziś dla nas znaczenie głównie antykwaryczne: zabieramy się za nie po lekturze *1984* i bodaj tylko z uwagi na tę książkę. Pierwsza powieść Lewisa, *Z milczącej planety* (*Out of the Silent Planet*), ukazała się w 1938 roku. Golding debiutował *Władcą much* w wieku czterdziestu kilku lat. Kariera White’a najbardziej może przypomina rozwój twórczości Tolkiena. Tak jak Tolkien, White napisał najpierw popularną książkę dla dzieci (*The Sword in the Stone*, 1938, por. *Hobbit* z 1937 roku), a następnie – też jak Tolkien – rozwijał podjęte wątki w poważniejszych i „bardziej dorosłych” książkach. Wydawcy nie byli przekonani. Drugi i trzeci tom cyklu, który stał się potem znany jako *The Once and Future King*, ukazały się w latach 1939 i 1940, ale w następnym roku wydawnictwo White’a (Collins) odmówiło publikacji tomów czwartego i piątego. Wydana w 1958 roku tetralogia była kompromisem: zrezygnowano z piątego tomu (ukazał się w 1977 roku, już po śmierci pisarza, jako *Księga Merlina*, *The Book of Merlyn*), duża jego część została jednak wykorzystana w nowej wersji tomu pierwszego. Napisanie i opublikowanie *Władcy pierścieni* zabrało Tolkienowi osiemnaście lat (a były jeszcze fragmenty wydane pośmiertnie). White poświęcił swemu dziełu dwadzie-

ścia lat; trzeba było kolejnych dwudziestu lat, aby uka-
zało się ono w całości, jednak nie w formie zamierzonej
przez pisarza.

Można więc powiedzieć, że wymienieni autorzy zo-
stali powieściopisarzami stosunkowo późno; dotyczy to
szczególnie Tolkiena i Goldinga. Najwyraźniej nie czuli
się urodzonymi twórcami fabuły; w każdym razie pisar-
ski fach nie przychodził im łatwo. Bernard Crick, biograf
Orwella, przytacza słowa jednego ze znajomych młodego
Orwella: *Pisał bardzo źle. Musiał dopiero uczyć się,
jak pisać [...] Pamiętam opowiadanie, którego w koń-
cu nie opublikował [...], a które zaczynało się od słów
„Wewnątrz parku były już krokusy...” O mój Boże, jak-
że się uśmiałyśmy.* Ich najważniejsze osiągnięcia (z wy-
jątkiem Goldinga) to powieści fantastyczne. I chociaż
wszyscy urodzili się przed 1914 rokiem, ich główne do-
konania należy datować na okres po zakończeniu dru-
giej wojny światowej. I najważniejsze: wszyscy ci autorzy
mieli jeden wspólny temat. Tym tematem jest proble-
matyka zła. Podchodzili do niego z dużą oryginalnością,
czasami w sposób nieledwie obsesyjny, odrzucając wcze-
śniejsze, choćby najbardziej uświęcone tradycją punkty
widzenia.

Łatwo zrozumieć, dlaczego temat zła tak ich fa-
scynował. Wszyscy (wyłączając tym razem White'a) byli
ofiarami wojny. Orwell został postrzelony podczas hisz-
pańskiej wojny domowej; zdaniem biografów pisarz był
o milimetr od śmierci. Lewis został trafiony odłamka-
mi bomby; przez chwilę myślał nawet, że nie żyje. Ma-
my niewiele informacji o życiu Goldinga, wiadomo jed-
nak, że w latach 1940–1945 służył w Królewskiej Mary-
narce Wojennej (*Royal Navy*), był świadkiem zatonię-
cia *Bismarcka*, a w trakcie operacji lądowania w Nor-
mandii (*D-Day*) służył jako oficer na okręcie rakieto-
wym. W powieści *Chytrus (Pincher Martin, 1956)* Gol-
ding sugestywnie opisał tragizm i horrendum umierania
w wodzie. Podczas pierwszej wojny światowej Tolkien
uczestniczył aktywnie w walkach 14 lipca 1917 roku jako
żołnierz oddziału *Lancashire Fusiliers* (Strzelców z Lan-
cashire) i przez trzy miesiące siedział w okopach, a na-
stępnie został zwolniony z powodu odniesionych ran.
Doświadczenia bitewne ominęły White'a, który z uwagi
na swoje przekonania pozostał w zachowującej neutral-
ność Republice Irlandzkiej. Ale w pewnym sensie to wła-
śnie White był najbardziej uwrażliwiony na problem zła;
otwarcie i chyba przekonująco deklарował, że *central-
nym tematem [jego własnego?] „Morte d'Arthur” jest
poszukiwanie antidotum na wojnę*, a w zakończeniu
Księgi Merlina informował czytelników w języku kla-
sycznej łaciny, iż pisał tę powieść *nationibus certanti-
bus diro in bello (gdy narody walczą w strasznej woj-
nie), ut pro specie pugnet (aby walczyć w obronie ga-*

tunku) – nie dla ojczyzny, lecz z ogólniejszych pobudek,
co nie zmienia faktu, że był gotów walczyć.

Sądzę zatem, że pomimo wielu różnic istnieje po-
między tymi pisarzami wyraźne podobieństwo wynika-
jące z przedstawionych właśnie faktów. Podkreślę raz
jeszcze, że moim zdaniem głównym tematem przewija-
jącym się przez ich powieści jest natura zła; że temat
ten został im narzucony przez doświadczenia z własne-
go życia (były to zresztą typowo brytyjskie doświadcze-
nia, obce choćby Amerykanom czy większości Europej-
czyków); że stali się powieściopisarzami w dużej mierze
po to, aby temat ten wyartykułować; że wybrali konwen-
cję *fantasy*, bajki czy też fantastyki naukowej, ponieważ
czuli, iż problematyki ludzkiego zła nie sposób celnie
wyrazić lub bezpośrednio podjąć w manierze czysto re-
alistycznej. Twórcy ci nie odrzucali realizmu, choć za-
rzut taki często kierowano pod adresem choćby Tolkiena,
Lewisa i White'a. Jeśli unikali podejmowania bieżą-
cych kwestii politycznych, takich chociażby jak podział
klasowy, to nie z powodu strachu czy nieodpowiedzial-
ności, ale dlatego, że w ich odczuciu za kwestiami ty-
mi kryły się zagadnienia znacznie poważniejsze, igno-
rowane, niepodjęwane czy niezauważane przez au-
torów zaangażowanych bezpośrednio w politykę. Nie
ma najmniejszych wątpliwości, że w przeciwieństwie do
wielu autorów i gatunków, które wiążemy z głównym
nurtem powieści angielskiej – myślę choćby o prozie
lat trzydziestych, o tak zwanych powieściach akademic-
kich, utworach Virginii Woolf czy E.M. Forstera – opi-
sywana tutaj grupa powojennych fantastów była najbar-
dziej zainteresowana tym, co stanowiło główny przed-
miot brytyjskiej polityki pierwszej połowy dwudzieste-
go wieku: wojnę. Koncentrowali się na problemie w ich
mniemaniu najistotniejszym, czyli (powtórzmy) na za-
gadnieniach natury i pochodzenia zła.

Pisali o tym z niezwykłą i godną podziwu siłą. Bo-
daj najślynniejszym obrazem zła pojawiającym się w ich
książkach jest ten pochodzący z 1984 Orwella. O'Brien
odmalowuje przed Winstonem Smithem wizję przyszłej
ludzkości:

*Przecieliśmy więzy łączące rodzica z dzieckiem,
człowieka z człowiekiem, mężczyznę z kobietą. Nikt już
nie ma odwagi zaufać własnej żonie, dzieciom, przyja-
cielowi. W przyszłości w ogóle nie będzie żon ani przy-
jaciół. Niemowlęta będą odbierane matkom już przy
narodzinach, tak jak zabiera się kurze zniesione jaj-
ko. Pociąg seksualny zostanie wypleniony. Prokreacja
będzie coroczną formalnością jak prolongata kartek
żywnościowych. Zlikwidujemy orgazm. Nasi neurolo-
gowie już nad tym pracują. Nie będzie żadnej lojal-
ności poza lojalnością wobec Partii. Nie będzie żadnej
miłości poza miłością do Wielkiego Brata. Nie będzie*

żadnego śmiechu poza triumfalnym śmiechem z pokonanego wroga [...] Wszelkie przyjemności zostaną wyługowane. Lecz zawsze, nie zapominaj o tym, Winston, zawsze będziemy upajać się władzą, coraz silniej i subtelniej. Zawsze, w każdej chwili, będzie możliwy dreszczyk triumfu, cudowne doznanie biorące się z deptania bezsilnego wroga. Jeśli chcesz ujrzeć obraz przyszłości, wyobraź sobie żołnierski but deptający ludzką twarz. Już na zawsze.

Wizja ta mocno utrwaliła się w pamięci czytelników. Dodajmy jednak: Orwell nie miał żadnej idei czy teorii, która wyjaśniłaby przyczynę opisanych w tym fragmencie działań, pomimo faktu, że pisarz odwoływał się do własnych doświadczeń. Inny uderzający moment w 1984 to scena, kiedy Winstonowi udaje się w końcu zdobyć (od O'Briena) zakazaną książkę zdrajcy Goldsteina, opowiadającą o tym, jak Partia zdobyła i utrzymuje władzę. Cytaty z książki Goldsteina zajmują ponad jedną dziesiątą powieści. Jest oczywiste, przynajmniej dla mnie, że Orwell próbuje wyjaśnić czytelnikowi, jaka jest geneza świata przedstawionego w 1984. W tym sensie Goldstein to jedynie „zawołowany narrator”, a jego książka jest czymś w rodzaju „dziennika kapitana”, formy narracyjnej dobrze znanej z licznych powieści *science fiction*, łączącej rzeczywistą przeszłość z wyobrażoną przyszłością. Problem w tym, że kiedy Winston dochodzi w końcu do pytania, którego nie sposób nie postawić, pytania o „fundamentalną tajemnicę” i „pierwotny motyw”, o to, *dlaczego* Partia postępuje tak a nie inaczej, nagle przerywa lekturę! Orwell nieoczekiwanie wtrąca w tym miejscu scenę z zasypiającą Julią. Winston obiecuje sobie dokończyć lekturę następnego dnia, co jednak nie następuje; również czytelnik nie poznaje kolejnych partii książki Goldsteina. To osobliwy moment. Tak jakby Orwell przyznawał, że nie potrafi wyjaśnić, dlaczego ludzie czują się przyciągani przez zło. Wiedział wprawdzie, czym jest zło, ale nie był w stanie zrozumieć perwersyjnej przyjemności płynącej z zadawania cierpienia.

W przeciwieństwie do Orwella, Lewis wysuwa dość skomplikowaną tezę mającą tłumaczyć źródła zła w dwudziestym wieku. Można zauważyć, że autor *Opowieści z Narnii* ma tendencję do kojarzenia obrazów zła z trywialnymi, choć nieco makabrycznymi sytuacjami (zarazem, podobnie jak Goldingowi, zdarza mu się wyłączać wojnę z kategorii rzeczy naprawdę przerażających). I tak w dziewiątym rozdziale *Perelandry* Lewis pozwala sobie na długi opis dręczenia żaby przez Nieczłowieka (*Un-man*). Bohater powieści próbuje ukrocić jej męki. Jest „wstrząśnięty” i „zbiera mu się na wymioty”. Lewis zauważa wprawdzie: *Może to dziwić u kogoś, kto był w okopach nad Sommą*, nie rezygnuje przecież z podkreślenia, że bohater jest przerażony. Zła nie moż-

na mierzyć jedynie użytą siłą czy wielkością osiągniętego rezultatu – liczy się również intencja. W opublikowanej w 1945 roku *Tej ohydnej Sile* Lewis, tak jak Orwell, wydaje się zdruzgotany bezsensownymi i ponurymi wizjami przyszłości, jakie snują spiskowcy. W pewnym momencie członkowie PIBS-u (Państwowego Instytutu Badań Koordynowanych, *National Institute for Co-ordinated Experiments*) ujawniają swoje prawdziwe zamiały. Filostrato, szalony naukowiec, przyznaje, że ideałem PIBS-u jest zniszczenie życia na rzecz Umysłu (*Mind*): *Musimy się go [życia] pozbyć. Oczywiście stopniowo. Powoli uczymy się, jak tego dokonać. Jak sprawić, aby nasze mózgi żyły przy coraz mniejszym udziale ciała. Musimy nauczyć się, jak budować nasze ciała bezpośrednio przy pomocy związków chemicznych, bez napychania ich martwymi zwierzętami i zielskiem. Jak rozmnażać się bez kopulacji.*

To chyba nie byłoby specjalnie przyjemne – powiedział Winter.

Mój przyjacielu, zdążyliście już oddzielić przyjemność od płodności. Sama przyjemność zaczyna powoli zanikać. Ba! Wiem, że jesteś innego zdania. Ale spojrz tylko na wasze Angielki. Na dziesięć z nich sześć jest oziębła, prawda? Widzisz? Sama natura zaczyna rezygnować z tego anachronizmu.

Dodajmy na marginesie, że Filostrato znaczy *pokonany przez miłość*. Lewis świetnie o tym wiedział – patrz jego esej *What Chaucer really did to Il Filostrato* (*Co Chaucer w istocie zrobił z „Il Filostrato”* [*Il Filostrato* to tytuł noweli Boccaccia]). W ten sposób chciał zapewne powiedzieć, że Filostrato to fanatyk z zasadami, zakochany w swojej szalonej wizji, zarazem usiłujący zniszczyć miłość między ludźmi.

Ale idźmy dalej. Trudno nie zauważyć, co tak naprawdę kryje się za poglądami członków PIBS-u. W istocie są oni finalnym produktem antyreligijnego i scjentystycznego stanowiska, które Lewis jednoznacznie łączył z H.G. Wellsem i jego następcami; zresztą w powieści *Z milczącej planety* stworzył parodię ich marzeń o ekspansji naukowej i pseudodarwinowskiej ewolucji, a w *Tej ohydnej Sile* przedstawił rozpoznawalną karykaturę Wellsa w postaci Horacego Julesa, dyrektora PIBS-u. Lewis zasadniczo zgadzał się z poglądem George'a B. Shawa: teoria ewolucji, przynosząc utratę wiary i erozję moralności, doprowadziła do dwóch wojen światowych. Poglądu tego nie podzielali inni z omawianych w tym tekście autorów, włączając w to Tolkiena. Odnajdziemy jednak u nich ślady takiego myślenia; pewne podobieństwa można także zauważyć w ponurych wizjach O'Briena i Filostrata.

Ewolucja jest także kluczowym pojęciem w powieściach T.H. White'a. Podobnie jak Lewis, White miał

w stosunku do niej złożony i ambiwalentny stosunek. W *Mieczu dla Króla* (*The Sword in the Stone*) chłopiec o imieniu Wart, przyszły Król Artur, przemienia się w różne zwierzęta. Każdy gatunek uczy go czegoś dobrego lub złego. White zdecydowanie odrzuca jednak stanowisko, w myśl którego ludzkość osiągnęła szczytowy punkt ewolucji. W *Księdze Merlina* (rozdział 5) tytułowy czarodziej – nawiasem mówiąc, Merlin to również jeden z głównych bohaterów *Tej ohydnej Siły* Lewisa – przekonuje, że opisywanie ludzkości w kategoriach *homo sapiens* jest błędne. Najbardziej rozpoznawalną cechą człowieka jest okrucieństwo, a nie umiejętność posługiwania się rozumem. Zdaniem Merlina człowiek to w istocie „*homo ferox*” – *Pomysłodawca Pastwienia się nad Zwierzętami, gotów poświęcić bajońskie sumy na bodowłę bażantów dla samej przyjemności ich zabijania, tresować jedne gatunki stworzeń do mordowania innych, podpalać żywe szczury – co na własne oczy widziałem w Irlandii – aby ich przeraźliwe piski odstraszyły inne okoliczne gryzonie, rozmyślnie rujnować wątroby udomowionych gęsi na swoje ulubione pasztety, odpilowywać bydło rogi celem usprawnienia jego transportu do rzeźni, wykluwać oczy szczygłom, by zmusić je do śpiewu, gotować żywcem homary i krewetki, słuchając ich żalonych popiskiwań, wypowiadać wojny własnemu gatunkowi, wyrzynając w każdym stuleciu dziewiętnaście milionów osobników, dokonywać publicznych egzekucji na bliźnich uznanych za winnych przestępstwa, własne potomstwo torturować za pomocą kija lub zamykać w obozach koncentracyjnych zwanych szkołami, gdzie zadawanie tortur można zlecić pośrednikom... Tak, tak, słusznie wątpisz, czy godzi się nadać człowiekowi miano ferox, gdyż w świecie szanujących się zwierząt przydomek ów, właściwy stworzeniom bytującym dziko w przyrodzie, żadną miarą nie pasowałby do tak wynaturzonej istoty.*

Nie ma większych wątpliwości, że Merlin to „zawołowany narrator” (podobnie jak Goldstein z 1984), *alter ego* White’a. Słowa Merlina o rzeczach, które „na własne oczy widział w Irlandii”, odnoszą się do White’a i jego pobytu w Irlandii w latach wojny. Kiedy czytamy, że Merlin oskarża tych, którzy tresują zwierzęta do zabijania innych zwierząt, czy też biją dzieci w szkole, to musimy pamiętać, że White był nauczycielem w angielskiej szkole publicznej, gdzie stosowano kary cielesne, i że z pasją oddawał się sokołnictwu. Pisarz krytykuje samego siebie – nie tylko w tym, co mówi Merlin, ale właściwie w całej tetralogii *Był sobie raz na zawsze król*. Wielokrotnie przy tym podkreśla, że ludzkie zło nie ma źródła w polityce czy dziewiętnastowiecznym kryzysie wiary: jest ono wrodzone. White w orygi-

nalny sposób reinterpretuje legendę Króla Artura, aby uzasadnić swoją tezę. Począwszy od trzynastego wieku próbowano wyjaśnić, dlaczego Lancelot zabił Garetha, przyjaciela i sojusznika, gdy ten stał nieuzbrojony, nie chcąc przeciwstawić się działaniom Lancelota zmierzającym do uwolnienia Ginewry. Od wieku dwunastego przyjęło się uważać, że Bitwa pod Camlann (czyli ostatnia bitwa Króla Artura) wybuchła wbrew zamiarom zainteresowanych stron, kiedy jeden z rycerzy wyciągnął miecz, aby zabić żmiję, budząc popłoch innych. White zmienił ten ostatni incydent, sprawiając, że stał się on jeszcze bardziej bezsensowny. W jego wersji wąż nie jest jadowitą żmiją, lecz niegroźnym zaskrońcem (*notabene* jednym z życzliwych stworzeń pojawiających się w *Mieczu dla króla*). Rycerz uderza go mieczem nie dlatego, że jest niebezpieczny, ale ponieważ tak właśnie robią ludzie. W taki sam sposób Lancelot atakuje nieuzbrojonego Garetha. Jak sam tłumaczy, ludzie to *straszne istoty* [...] *Gdy idąc polem widzimy kwiat, ścinamy patykiem jego koronę. Tak zginął Gareth*. Jak Lewis, White potrafi odnaleźć najgorsze obrazy zła w tym, co trywialne – w *paté de foie gras* lub w scenie z Kajem strzelającym do ptaków dla zabawy. Jego pogląd na wojny, obozy koncentracyjne i masowe morderstwa zawiera się w przekonaniu, że są one częścią *continuum*, które zakorzenione jest w genach i bierze początek w codziennym życiu.

Mój ostatni przykład powojennych wizji zła jest najbardziej oczywisty i ma najbardziej bezpośrednią formę. Myślę o opublikowanym w 1965 roku eseju Goldinga *Fable* (*Bajka*). Golding napisał ten tekst między innymi po to, aby wyjaśnić swoim dociekliwym studentom, o co mu chodziło we *Władcy much*. Czytamy: *Przed drugą wojną światową wierzyłem, że człowiek jako istota społeczna może się doskonalić; że dobra organizacja społeczna owocuje dobrą wolą; że można usunąć społeczne zło, reorganizując społeczeństwo. Możliwe, że dzisiaj znowu w coś takiego wierzę; ale zaraz po wojnie było inaczej. Odkryłem wtedy, do czego zdolne są istoty ludzkie. Nie chodzi mi o strzelanie do ludzi z karabinów, zrzucanie na nich bomb czy zabijanie torpedami. Chodzi mi o niewyobrażalną wręcz podłość, z jaką w tamtych latach mieliśmy do czynienia w państwach totalitarnych. Wystarczy przypomnieć, ilu Żydów zostało wtedy wymordowanych. Mówi się o likwidacji ludzi – ładne, eleganckie słowo – ale robiono wtedy rzeczy, o których nawet teraz nie mogę myśleć bez uczucia mdłości [...] Zresztą nie chcę tego rozwijać. Chciałbym tylko powiedzieć, że jeśli ktoś przeżył tamte lata, nie widząc, że człowiek wytwarza zło tak, jak pszczoła wytwarza miód, to musiał być ślepy bądź szalony.*

Zgodnie z tym poglądem, bardzo podobnym do stanowiska White'a, zło jest po prostu efektem genów: ludzie wytwarzają zło instynktownie bądź odruchowo. Golding przyznaje, że takie stanowisko może być uprzedzone i uwarunkowane indywidualnymi doświadczeniami, sugeruje też, że mógłby je zmienić. Podkreśla jednak: jeśli ktoś przeżył to, co on, i nie podzielał jego zdania, *to musiał być ślepy bądź szalony*. Mówiąc inaczej, Golding gotów jest przyjąć istnienie głębszego spojrzenia na człowieczeństwo niż to opisane we *Władcy much*, ale spojrzenie takie byłoby niepełne, gdyby zupełnie wykluczało jego punkt widzenia. W wyjaśnieniach Goldinga wyczuwamy sporą dozę rozczarowania, podobnie jak u Orwella i Lewisa. Autor *Chytrusa* zaznacza, że przed drugą wojną światową wierzył w możliwość doskonalenia się istoty ludzkiej. Wojna odarła go z tej wiary. Podobnie stało się z Orwellem, co dobrze widać w *Folwarku zwierzęcym*, tej alegorii rozczarowania (choć warto zauważyć, że w przypadku Orwella rozczarowanie przyszło wcześniej, być może podczas rekonwalescencji po powrocie z Hiszpanii w 1937 roku). Jeśli chodzi o Goldinga, to odnotujmy, że był wyraźnie przejęty twórczością H. G. Wellsa, ale jeszcze wyraźniej twórczość tę odrzucał. W opowiadaniu *Ambasador nadzwyczajny* (*Envoy Extraordinary*, 1956) z tomu *Bóg Skorpion* mamy do czynienia z sympatyczną parodią Wellsa. *Spadkobiercy* (1955) to już poważniejsza i mocno krytyczna odpowiedź na opowiadanie Wellsa *The Grisly Folk*. Można też bronić tezy, że we *Władcy much* Golding czyni aluzję do Wellsowskiego opisu powstania religii w onegdaj popularnej, a teraz prawie zapomnianej *Historii świata* (*The Outline of History*, 1920); warto choćby przeczytać pojawiające się w indeksie hasła związane z imieniem *Baala* bądź *Baal-zebuba*, czyli tytułowego „władcy much”. Wyraźny u Goldinga moment rozczarowania odnosił się w części do obietnic nauki i rozumu; pisarz ten jednak, w odróżnieniu od Lewisa, nie powrócił do chrześcijaństwa i wiary w to, że zło jest lub może być efektem diabelskich podszeptów.

Podsumowując dotychczasowy tok rozumowania, można powiedzieć, że Orwell nie potrafił wyjaśnić pochodzenia zła w epoce nowożytnej; Lewis próbował tłumaczyć je w tradycyjnie religijny sposób; White odwoływał się do wyjaśnień genetycznych; Golding zaś wahał się między Whitem i Orwellem, zgadzając się jednak z diagnozami Lewisa. Warto dodać, że wszyscy ci pisarze tropili te same problemy; wszyscy pisali z autentyczną goryczą i zgrozą; żaden z nich nie zwracał najmniejszej uwagi na to, jak czasy współczesne, włączając w to kulturę, tłumaczą politycy, przywódcy religijni, krytycy literaccy czy nawet przedstawiciele „wielkiej tradycji” powieści angielskiej.

Czy twórczość Tolkiena wpisuje się w tak zarysowany schemat? Trudno o jednoznaczną odpowiedź. Podobnie jak czterej wspomniani pisarze, autor *Władcy pierścieni* odrzucał nowoczesną literaturę. Nie wykazywał też większego zainteresowania polityką, odkryciami genetyki, nauką, problemem kryzysu wiary czy twórczością Wellsa. Jego główną fascynacją była filologia jako dyscyplina akademicka. Co istotniejsze, trudno znaleźć w jego książkach choćby jeden fragment, który przypominałby grozą wspomniane już sceny z powieści Orwella i White'a, albo też obrazy rozpruwania wnętrza żaby (u Lewisa) i mordowania chłopca (Simona we *Władcy much*). W powieściach Tolkiena groza ma miejsce „poza sceną”, tak jak w przypadku sugestywnych śladów po *straszliwej sceny rzezi i uczy* (*a place of dreadful feast and slaughter*) w czwartej części *Władcy Pierścieni*. Szeloba, Upiory Pierścienia (*Ringwraiths*) i plemię Uruk-hai nie wysuwają takich oskarżeń pod adresem ludzkości, jakie wysuwają O'Brien, Filostrato i Merlin. Znamienne, że kiedy po prezentacji niniejszego tekstu na konferencji Tolkienowskiej w Turku zapytałem słuchaczy, czy mogliby dać przykłady metafizycznego zła w utworach Tolkiena, Profesor Verlyn Flieger przypomniał scenę rozgrywającą się w Komorach Ognia (*Sammath Naur*), kiedy Frodo nie chce oddać Pierścienia (rozdział VI). Oto ta scena: *Frodo drgnął. Gdy się odezwał, głos jego wydał się Samowi tak dźwięczny i donośny jak nigdy; poprzez zgiełk i zamęt Orodruiny słowa rozbrzmiewały wyraźnie pod stropem i między ścianami tunelu*.

– *Przyszedłem – powiedział Frodo. – Ale nie spełnię tego, po co tu dążyłem. Nie uczynię tego. Pierścień należy do mnie*.

I nagle wsunął Pierścień na palec, by zniknąć Samowi sprzed oczu.

To wyjątkowo złowieszczy i potencjalnie katastrofalny moment. Wsuniecie Pierścienia na palec jest równoznaczne z przejściem na drugą stronę, stronę zła. W przyszłości doprowadzi to do zniszczenia i zniewolenia Śródziemia; Frodo stanie się jednym z upiórów albo nowym Sauronem. Ta jedna chwila niweczy wszystko, co do tej pory osiągnięto. Zarazem niełatwo w przytoczonej scenie dopatrzeć się obrazu zła. Nie jest wszak do końca jasne, czy Frodo istotnie czyni coś złego. Kiedy mówi „Pierścień należy do mnie”, potwierdza stan rzeczy, który trudno byłoby kwestionować z punktu widzenia prawa. Nie ukradł go przecież: Pierścień został mu podarowany. Nawet Bilbo może zostać nazwany jedynie złodziejem. Nie zmienia to oczywiście wagi przywołanej właśnie sceny. Należy jednak zauważyć, że Tolkien daleki jest od przedstawiania bezsensownego, jałowego

go i egoistycznego okrucieństwa zła, tak jak to czynią pozostali z omawianych przez mnie pisarzy.

Autor *Władcy Pierścieni* miał jednak swoją teorię na temat zła. Można nawet sądzić, że kwestią tą interesował się równie głęboko jak omawiani wcześniej autorzy. W *Drodze do Śródmorza* analizowałem historyczno-filologiczne aspekty tej teorii, stwierdzam tam między innymi, że stanowisko Tolkiena jest pod pewnymi względami bardzo nowoczesne, zwłaszcza jeśli chodzi o kluczową koncepcję zła jako nałogu. Dowodzę także, że Tolkien przyznawał równe miejsce dwóm starym, przeciwstawnym wizjom zła: chrześcijańskiej, rozwiniętej przez Boecjusza koncepcji, w myśl której zło jest brakiem, duchową pokusą lub iluzją; oraz nordyckiej koncepcji zła jako zewnętrznej potęgi, z którą trzeba walczyć fizycznie. Przeplatanie się obu idei daje w rezultacie wyraźny, indywidualny, jedyny w swoim rodzaju obraz natury życia w tym świecie; myślę, że to między innymi dzięki temu dzieła Tolkiena zyskały taką popularność.

Jak wielokrotnie podkreślam w *Drodze do Śródziemia*, gros czytelników książek Tolkiena, włączając w to recenzentów i krytyków, nie akceptowało jego poglądów; niektórzy nawet ich nie dostrzegali. Za komentatora szczególnie wobec Tolkiena wrogiego należy uznać Edwina Muira. Muir recenzował poszczególne tomy *Władcy pierścieni* w momencie ich ukazywania się (recenzje z 22 sierpnia 1954, 21 listopada 1954 i 27 listopada 1955 roku, wszystkie w *Observerze*). Nie wiem, czy jest prawdą, że opublikowana 25 listopada 1955 roku w *The Times Literary Supplement* anonimowa recenzja wyszła spod pióra Muira, lecz jeśli tak (a są głosy, które to potwierdzają), to wypadaloby mówić o czterech podejściach do Tolkiena – może nawet pięciu, jeśli dorzucić list do *TLS*, opublikowany 9 grudnia, w którym anonimowy recenzent ustosunkowuje się do własnych zarzutów. Tym, co łączy te cztery czy pięć tekstów, jest ewidentne pragnienie poniżenia Tolkiena. Muir czepia się wszystkiego: niedojrzałości, braku wyczucia stylu, etc. Powtarza zarzut nieumiejętności zadowalającego przedstawienia zła. W pierwszej recenzji dla *Observera* narzeka, że *dobrzy bohaterowie* [Tolkiena] są *nieodmiennie dobrzy*, zaś *źli są zawsze źli*; w tym świecie nie ma miejsca na Szatana, który byłby jednocześnie zły i tragiczny. W trzeciej recenzji krytykuje zaproponowane przez Naomi Mitchison porównanie cyklu powieściowego Tolkiena z *Morte d'Arthur* Thomasa Malory'ego: *Bohaterowie Okrągłego Stołu nie skończyli szczęśliwie. Byli równie odważni co bohaterowie Pierścienia, ale nieobce im były pokusy, zdarzało im się łamać własne przysięgi, czuli się też rozdarci pomiędzy sprzecznymi uczuciami miłości i obowiązku*. Recenzja w *The Times Literary Supplement* powtarza

zarzut powierzchownego przedstawienia złych bohaterów: *jeśli nie liczyć okrucieństwa w walkach, nigdy do końca nie wiemy, na czym polega ich nikczemność*; jeśli zaś chodzi o drugą stronę, *wyduje się, że w ich charakterach nie ma niczego, co można by nazwać prawością*. Oto zatem najczęściej powtarzające się zastrzeżenia Muira: źli bohaterowie nie są przekonująco opisani; dobrzy bohaterowie są jednowymiarowi; choć obie strony są przedstawione w sposób nierealistyczny, jako czyste dobro i czyste zło, to ich zachowanie jest identyczne, zwłaszcza jeśli chodzi o używanie siły. Kiedy mój dawny kolega, David Masson, napisał do *TLS* list (ukazał się 9 grudnia 1955 roku), w którym dość ostrożnie wykazywał, że recenzent dopuścił się szeregu błędów faktograficznych i mylił się w kwestiach związanych z przedstawieniem dobra i zła, recenzent odpowiedział: *W książce dobrzy próbują zabić złych, a źli próbują zabić dobrych. Nie robią nic innego. Obie strony są odważne. Pod względem moralnym nie ma nic, co pozwoliłoby dokonać wyboru między nimi*.

Niektóre z tych zarzutów są pod względem faktograficznym równie absurdalne co powtarzające się w recenzjach (również tych autorstwa Muira) błędy w od dawaniu imion poszczególnych postaci. Jeśli twierdzi się na przykład, że dobrzy bohaterowie Tolkiena są *nieodmiennie dobrzy*, to co zrobić z takimi, wcale licznymi, postaciami, jak Boromir, albo ze sceną, w której Frodo nie chce oddać Pierścienia? Również zarzut, że zło jest niezmiennie złe, nie jest do końca trafny – wszak nawet Sauron *nie zawsze był taki*; niejednoznaczne jest też przedstawienie Upiorów Pierścienia. Moim zdaniem należy raczej zadać pytanie, co kryje się za wzmożonym niepokojem recenzentów. Weźmy na przykład zarzut, że *Władca pierścieni* nijak się ma do wzorców literackich: czemu Muira nie przypomina *Raju utraconego*, w którym Szatan przedstawiony jest jako postać *równocześnie zła i tragiczna*? Jedną z możliwych odpowiedzi zaproponował C.S. Lewis, który w *Perelandrze* dał nam długi komentarz do poematu Milтона. W rozdziałach 9 i 10 Lewis zmierza ku dość wyraźnej konstatacji: *posępny, tragiczny Szatan z „Raju utraconego”, a także gładki i subtelny Mefistofeles z tradycji Faustowskiej, to fałszywe obrazy tego, czym naprawdę jest zło*. Muir pyta dalej: *dłaczego bohaterowie i bohaterki Tolkiena nie są jak postacie z legend Arturiańskich, zwłaszcza Lancelot i Królowa Ginewra, z ich grzeszną, niszczycielską namiętnością?* Odpowiedzi na to pytanie udzielił z kolei T.H. White, który, jak już zaznaczyliśmy, odrzucił standardowe interpretacje mitów Arturiańskich, stojąc na stanowisku, że w prawdziwym świecie zło jest instynktownym odruchem, nie ma charakteru indywidualnego i w najmniejszym stopniu nie jest podniecające. Mu-

ir próbuje narzucić Tolkienowi wzorzec literacki, a następnie oburza się, że Tolkien go odrzuca. A przecież Tolkien i inni pisarze zdawali sobie sprawę z faktu, że stare wzorce literackie nie są w stanie wyrazić dwudziestowiecznego doświadczenia zła.

Warto też zwrócić uwagę na kwestie okrucieństwa, litości i przemocy. Tolkiena oburzało oskarżenie o brak litości. 12 grudnia 1955 roku pisał do Davida Massona: *w książce, która od początku do końca traktuje o Litości, same gesty „okazywania litości” nie są już takie istotne*. Inni odpowiadali podobnie. Masson argumentował, że *Władca Pierścieni* ukazuje opozycję nie tyle pomiędzy Dobrem i Złem, ile *miłością i nienawiścią*, a W.H. Auden zauważył, że kontrast pomiędzy dobrem i złem zawiera się w samej strukturze książki – dobro potrafi wyobrazić sobie zło (dlatego ani Gandalf, ani Galadriel, ani Faramir, ani Frodo nie chcą brać Pierścienia aż do samego końca opowieści), ale zło *nie potrafi wyobrazić sobie niczego poza samym sobą* (dlatego Sauron bez najmniejszego wahania podąża ku Komorom Ognia). Trzeba jednak przyznać, że „synchroniczne” spojrzenie na problematykę powieści jest niewystarczające, aby w pełni odeprzeć zarzuty pojawiające się we wspomnianych recenzjach. Musimy spróbować zrozumieć, jakim konkretnym niepokojom dali wyraz recenzenci, jakiego rodzaju wyzwaniem dla moralnych wyroczni oficjalnej kultury był Tolkienowski pogląd na kwestie dobra i zła.

Znowu wypada podkreślić znaczenie momentu biograficznego. Krytykom Tolkiena często nie podobało się, że w jego opowieści siły dobra nieustannie używają przemocy. W kontekście literatury heroicznej wcześniejszych epok – stanowiącej przedmiot akademickich badań Tolkiena – tego rodzaju krytyka jest po prostu dziwaczna. Trudno sobie wyobrazić, aby Beowulf próbował przemawiać Grendelowi do rozumu, albo żeby Sir Gawain odmówił ścięcia Zielonego Rycerza, choć tego właśnie od niego się wymaga. W XX wieku nauczyliśmy się jednak gorzkiej lekcji, że *przemoc rodzi przemoc*. Na przykład zwycięstwo w pierwszej wojnie światowej zrodziło chęć odwetu, co z kolei doprowadziło do wybuchu drugiej wojny. Nie było też wyraźnego rozróżnienia na dobrych i złych, niezależnie od tego, co twierdziła oficjalna propaganda. Najpowszechniejszą reakcją na tego typu dylematy było stwierdzenie, że *przemoc jest zawsze zła, a cel nigdy nie uświęca środków*. W tym właśnie duchu stowarzyszenie Oxford Union przyjęło w 1937 roku słynną deklarację mówiącą, że *nasza Izba w żadnym przypadku nie będzie walczyć za Króla i kraj*; w tym duchu recenzent *TLS* mógł oświadczyć, że *pod względem moralnym nie ma nic, co pozwoliłoby dokonać wyboru między nimi*; w tym

wreszcie duchu należy rozumieć słowa z recenzji w *Observerze* wzywające do zatarcia różnic między dobrem i złem (w odniesieniu do motywacji) i jednoczesnego ich podkreślenia (w odniesieniu do czynów). Tak oto dobro i zło definiowane są w relacji do siły.

Przekonania tego nie podzielali niektórzy z omawianych tutaj pisarzy. Jak wspomniałem, Golding wykluczał ze swojej definicji zła działania wojenne. W jednej z kluczowych scen *Perelandry* Lewisa (opublikowanej, przypomnijmy, w 1943 roku) główny bohater powieści, akademik i pacyfista, zdaje sobie sprawę, że nie ma sensu dyskutować z Nieczłowiekiem, który nastaje na niewinność Zielonej Pani – trzeba podjąć z nim fizyczną walkę; z kolei *Ta ohydna Siła* kończy się rzezią, tak niewinnych (czy częściowo niewinnych), jak i winnych. Orwell zawsze dawał wyraz przekonaniu, że druga wojna światowa wymaga od nas walki do końca, odwołując się do tkwiących w nas wszystkich rezerw patriotyzmu. Stosunek White'a do użycia siły jest niejednoznaczny, ale pisarz wyraźnie przedstawia ideę Okrągłego Stołu jako próbę (nieudaną, choć być może na dłuższą metę udaną) ucywilizowania wrodzonego nam popędu do przemocy. W tym kontekście dobrzy, a zarazem brutalni, mili, a zarazem krwiożerczy bohaterowie Tolkiena – przymiotniki te wyjątkowo trafnie opisują króla Théodena – nie wydają się tak ekscentryczne, paradoksalne czy bezmyślne, jak sugerowało wielu recenzentów. Wszyscy powojenni powieściopisarze, którymi się tutaj zajmuję, byli bardzo wyczuleni na to, jak dobre intencje mogą przerodzić się w zło; pomyślmy choćby o Sauronie czy knurze Napoleonie z *Folwarku zwierzęcego*. Dlatego zdecydowanie odrzucali powszechnie akceptowane stanowisko Muira (i wielu późniejszych krytyków), zgodnie z którym bierność jest usprawiedliwiona, albowiem zapobiega wypaczeniu dobra. Chciałoby się dodać, że czynili to nauczani własnym doświadczeniem. Czterech z nich było świadkami bitew, wszyscy stracili przyjaciół, dwóch z nich zostało rannych: nie zamierzali przyjąć do wiadomości, że wszystko to mogło być wynikiem błędu. Inaczej widzieli to ich krytycy, pochodzący w większości z najbardziej uprzywilejowanych klas brytyjskiego społeczeństwa. Łatwo wierzyć, że ignorowane zło zniknie, jeśli tkwi się bezpiecznie w środowisku akademickim.

Również w moim odczuciu kwestia legitymizacji przemocy jest ważna i daleka od abstrakcji, zwłaszcza w kontekście życiowych doświadczeń Tolkiena czy Goldinga. Ja sam, choć urodziłem się w 1943 roku, spotkałem Anglików, którzy – wiem to na pewno – strzelali do poddających się więźniów; palili ludzi żywcem; zabijali bezbronne kobiety i dzieci. W normalnym życiu byli miłymi, uczciwymi obywatelami, którzy nigdy nie

dokonaliby takich okrucieństw – *chyba, że chodziloby o dzialania w czasie wojny*. Byli przekonani (z pewnymi wyjątkami i w różnym stopniu), że wojna usprawiedliwia okrucieństwo. Problem, jaki wiąże się z takimi ludźmi – nie mam wątpliwości, że omawiani przede mną powieściopisarze byli bardziej ode mnie tego świadomi – ma charakter dylematu: jak przeciwstawiać się złu, nie padając jednocześnie jego ofiarą? Wydaje mi się, że duża część *Władcy Pierścieni* – to samo dotyczy *Władcy much* i cyklu powieściowego White'a – dotyczy tego właśnie problemu. Z pewnością nie rozwiążemy go, jeśli przyjmujemy razem z Muirem, że należy zrezygnować z czynnego oporu, albo jeżeli założymy, że zło jest wytworem umysłu.

Podsumujmy. Tolkiena można nazwać pisarzem powojennym, jednym z grupy angielskich twórców piszących o wojnie i złu, czerpiących tematy z własnego życia i pozostających pod niewielkim wpływem kultury oficjalnej (zarówno literackiej, jak i politycznej). Pisarze ci preferowali konwencje nierealistyczne, głównie dlatego, iż sądzili, że piszą o sprawach zbyt wielkich i ogólnych, by można je było powiązać z konkretnymi realiami. Ich poglądy na zło bardzo się różniły, miały jednak wspólny mianownik – stanowiły wyzwanie dla konformistycznych poglądów ich współczesnych. Zapewne dlatego żaden z omawianych w niniejszym szkicu autorów (poza Goldingiem) nie znalazł się w kanonie lektur akademickich; żaden też nie został krytycznie zinterpretowany tak, *jak zapewne życzyłby sobie tego sam autor*, by zacytować autora *Hobbita*. Pokazałem, mam nadzieję, że powieściowa twórczość Tolkiena może być postrzegana w kontekście współczesności. Zależało mi też na uwypukleniu literackiego i politycznego znaczenia grupy pisarzy, z którymi go skojarzyłem, nie mówiąc już o podkreśleniu wagi podejmowanych przez nich problemów. ■

przetłumaczył Jacek Gutorow

Thomas Alan Shippey – brytyjski literaturoznawca i krytyk literacko, wykładał na uniwersytetach w Cambridge i Leeds. Specjalizuje się w twórczości J.R.R. Tolkiena. Opublikował m.in. „Droga do Śródziemia” (1982, pol. tłum. 2001), „J.R.R. Tolkien. Pisarz stulecia” (2001, pol. tłum. 2004). Przedstawiony wyżej artykuł ukazał się w numerze specjalnym czasopisma „Mythlore” (21), 2/1996 poświęconym życiu i dziełu Tolkiena. Później tezy tego artykułu znalazły odzwierciedlenie w rozszerzonym wydaniu „Drogi do Śródziemia” z 2003 roku.